

JERZY JEDLIŃKI

HISTORIA WŚRÓD NAUK SPOŁECZNYCH

Historyk — czytelnik najnowszej książki Stanisława Ossowskiego¹, ma do wyboru dwie postawy wobec tej lektury. Może zachować się jak humanista *tout court*: odłożyć wtedy na bok swoje partykularne interesy i będzie śledził tok myśli Autora, przyjmując lojalnie jego punkt widzenia i system założeń. Może też pozostać w roli członka swojej korporacji: wówczas będzie przymierzał zarówno założenia jak i wyniki do swoistego modelu własnej dyscypliny; będzie się zastanawiał, w jakiej mierze ta naukoznawcza refleksja socjologa zaspokaja inne potrzeby — takie, których Autor nie brał, i brać nie musiał, pod uwagę.

Pierwsza możliwość jest bardzo kusząca. Jest bowiem rzeczą pasjonującą solidarne towarzyszenie autorowi dzieła, którego architektonika, forma wykładu, jasność języka i wytworność stylu mogłyby stanowić przedmiot seminarium dla adeptów pisarstwa naukowego, a nie zawaham się dodać, że i literackiego. Przeżycie to jest tym bardziej zadziwiające, że książka Ossowskiego nie jest przecież gatunkowo jednolita. Stanowi ona — podobnie jak i poprzednia większa praca tegoż uczonego² — zbiór zdań opisowych i normatywnych. Beznamiętne — chciałoby się rzec: akademickie — rozważania typologiczne przechodzą nieoczekiwanie w króciutki esej lub naukową publicystykę w najlepszym stylu, ujawniającą osobiste zaangażowanie Autora i jego ideowe preferencje. Zwłaszcza dwa ostatnie rozdziały, poświęcone porównaniu socjologii z innymi dziedzinami twórczości kulturowej oraz zdefiniowaniu jej funkcji w procesach przemian społecznych, zawierają zarazem jak gdyby projekt kodeksu moralnego, którego przestrzeganie miałyby być cechą konstytutywną roli społecznej uczonego-humanisty. Kodeksu — dodajmy nawiasem — bardzo wymagającego: wartościowaniem moralnym opatrzony jest nie tylko np. stosunek badacza do mecenasa lub klienta instytutu socjologii empirycznej, ale także stosowane reguły wnioskowania, języka i erystyki.

To skrzyżowanie gatunków nie podważyło wszakże spójności kompozycyjnej dzieła. Naukoznawcza monografia, deklaracja ideowa i projekcyjna wizja zintegrowanej socjologii jutra dały stop przedziwnie jednolity.

Jeśli mimo to wybieram drugą, „stronniczą” postawę, to niechaj mnie usprawiedliwi przeświadczenie, że każda próba porozumienia między cechami historyków i socjologów służy dobrej sprawie. Dwie te społeczności nie były od siebie odległe w czasach Czarnowskiego i Krzywickiego. Dziś — na przykład — wszystkim sloganom o integracji nauk — sprawa zdaje się przedstawiać znaczenie gorzej. Historyk i socjolog (nawet ów socjolog-humanista, wedle nomenklatury Ossowskiego) reprezentują w Polsce przeważnie zupełnie odmienne typy badacza, a nierzadko też sądzą, że wzajemnie nie mają sobie wiele ciekawego do zakomunikowania. Nie będzie więc może rzeczą całkiem bezprzedmiotową przyjrzeć się,

¹ Stanisław Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych*. Warszawa, PWN, 1962, ss. 327.

² St. Ossowski, *Struktura klasowa w społecznej świadomości*. Łódź 1957.

czy współczesne dziejopisarstwo da się wcisnąć w schematy typologiczne zaferowane przez Ossowskiego, czy też w owym gabinecie osobliwości będzie się ono musiało kontentować kącikiem osobnym, z dala od socjologicznych i antropologicznych gablotek.

I

W gablotkach tych profesor Ossowski eksponuje dwojakiego rodzaju dziwy nauk społecznych. Najpierw te, które znamionują aktualny, historycznie ukształtowany szczebel ich rozwoju. Tu należą pewne specyficzne typy sporów, pewne sposoby wypowiedzania myśli, nazbyt obciążone funkcją ekspresyjną lub impresyjną mimo pozorowania funkcji opisowej, daleki walki „szkół” i charakterystyczny stosunek do klasyków nauki, stosunek ujawniający, iż rozwój wiedzy o społeczeństwach ludzkich nie jest procesem systematycznie kumulatywnym. Ta grupa osobliwości — wskazuje Ossowski — nie jest jakimś wyłącznym atrybutem nauk społecznych. Różnice mają raczej charakter kwantytatywny: po prostu „w naukach społecznych pozostało po dziś dzień daleko więcej relikwów postaw archaicznych, niż na terenie nauk przyrodniczych” (s. 187). Prognoza jest w zasadzie optymistyczna, skoro już dzisiaj „nie tylko socjologia empiryczna kształtująca się wedle wzorów nauk przyrodniczych, ale również ten typ prac socjologicznych, który zachowuje styl twórczości humanistycznej (...) włącza się w nurt postępu nauki przez podporządkowanie się podstawowym wymaganiom pracy naukowej, postulatowi sensowności, operatywności, troski o właściwe kwantyfikatory i o dokumentację odpowiadającą sile twierdzeń lub hipotez” (s. 294).

Druga kategoria osobliwości to immanentne „cechy przedmiotu badań socjologa, które prowadzą do zagadnień nie mających analogii, pod pewnymi ważnymi dla nas względami, w sferze nauk przyrodniczych” (s. 213). Te cechy konstytuują zasadniczą, jakościową i trwałą odmienną poznaną socjologicznego; dlatego socjolog-humanista nie podziela iluzji niektórych swych kolegów empiryków o możliwości całkowitego upodobnienia dwóch wzorów budowania nauki.

Nauki historyczne pozostały gdzieś poza tą dychotomią wzorów. Historia nie zmieściła się bowiem w przyjętym przez Ossowskiego (s. 17, 23) zakresie nauk społecznych, chociaż jej imię pojawia się niekiedy na kartach książki, a niektóre jej perypetie (np. spory periodyzacyjne, dyskusja o upadku państwa polskiego, rozbieżne portrety ideowe Lelewela) służą nawet za ilustracje osobliwości tych nauk. Na pozór sprawa wydaje się prosta. Ossowski traktuje historię jako naukę nie generalizującą (s. 170), uznając tym samym stary spór o idiograficzny czy też nometyczny program tej dyscypliny za rozstrzygnięty³. Skoro tak, to owa uboga idiograficzna krewna nie ma istotnie co robić tam, gdzie mowa o sposobach budowania teorii, pojmowanej jako usystematyzowany zbiór praw o większym lub mniejszym stopniu ogólności. Historyk dostarcza budulca; funkcję „teoriotwórczą” wykonywa socjolog-humanista albo antropolog społeczny, operujący materiałem porównawczym w szerokiej skali czasu i przestrzeni.

Nie chodzi tu doprawdy o względy ambicjonalne; tym bardziej, że nazwy „historyk” i „socjolog” możemy pojmować jako określenia ról społecznych, a nie trwałych przynależności do grup zawodowych. Wówczas po prostu historyk, który zabierałby się do generalizowania, wstępowałby pełnoprawnie w rolę społeczną socjologa. Niepokój budzi się dopiero wtedy, gdy pytamy, jakimi zagadnieniami

³ Kwestię „programu” spośród innych przedmiotów sporu wyodrębnił bardzo jasno A. Malewski, *Metodologiczny charakter historii — zagadnienie idiografizmu* (W: A. Malewski i J. Topolski, *Studia z metodologii historii*. Warszawa 1960, s. 23, 35—36.

będzie się zajmował ten socjolog „sięgający w przeszłość po materiały do uogólnień” (s. 227). Szukając u Ossowskiego odpowiedzi, zaczynamy bowiem podejrzewać, że sprawa nie redukuje się do podziału kompetencji albo ról, że przy tym podziale jakiś obszar zagadnień wypadł z rachunku.

Zakładam tutaj, że przedmiotem analizy naukoznawczej jest zakres czynności „uczonego wzorcowego”, którego obraz możemy sobie zatem z owej analizy odtworzyć. Otóż czytelnik omawianej książki spostrzeże, iż ten „wzorcowy socjolog” bada przeważnie zależności między różnymi kategoriami zmiennych w układach statycznych. Jego zainteresowania nie różnią się w gruncie rzeczy od zainteresowań pracownika instytutu socjologii empirycznej: obaj zajmują się wykrywaniem praw (bezwzględnych, statystycznych i korelacyjnych), jakim podlegają zbiorowe zachowania ludzi jako funkcja sytuacji społecznych. Różnica między nimi polega natomiast na tym, że „wzorcowy socjolog-humanista”, świadom kulturowego uwarunkowania tych zachowań, dąży do formułowania teorii znacznie bardziej uniwersalnych w sensie czasowo-przestrzennym, ryzykując przy tym popadnięcie w sugestywnie przedstawiony przez St. Ossowskiego konflikt między doniosłością też naukowych a postulatami perfekcji metodologicznej. Wzorec ów stanowi tedy kompromis „pollstera” (s. 265) z polihistorem.

Podobny wzorec znajdziemy w artykule Stefana Nowaka o generalizacjach historycznych. Bohaterem tej pracy jest „uczony, który przebadał pewną ilość ludzi, zanalizował funkcjonowanie pewnej liczby instytucji czy grup społecznych i przystępuje do teoretycznej interpretacji uzyskanych rezultatów, (przy czym) staje bardzo często w obliczu problemu szczególnie trudnego, który można by określić mianem problemu granic uogólnienia”⁴. Przykładową konkretyzacją wzorca jest psycholog społeczny badający skuteczność masowej propagandy lub — mówiąc ogólniej — zmiany zachowań jednostek i grup społecznych pod wpływem podstawowych procesów uczenia się. Jeżeli badaczowi temu uda się sformułować twierdzenie o pewnych stałych zależnościach na podstawie sądów spostrzeżeniowych ograniczonych do społeczeństwa amerykańskiego w latach drugiej wojny światowej i jeżeli nic go nie uprawnia do przekonania, że tak samo reagują ludzie w innych okresach lub innych społeczeństwach — to powstaje generalizacja historyczna. „Historyczność” uogólnienia polega tu więc po prostu na tym, że zostało ono zaopatrzone w „kwantyfikatory historyczny”⁵, określający zakres, w jakim ono być weryfikowane⁶. Nasz badacz może chcieć z kolei sprawdzić, czy wyznacz-

⁴ St. Nowak, *Prawa ogólne i generalizacje historyczne w naukach społecznych*. „Studia Socjologiczne” 1961, nr 1, s. 92.

⁵ Ibidem, s. 102.

⁶ Mniej klarowne jest stanowisko Z. Baumana, który — klasyfikując kierunki socjologii współczesnej ze względu na zakres i typ poszukiwanych generalizacji — wyodrębnia: „(a) kierunki dążące do formułowania uogólnień historycznych, w których ważną rolę odgrywają wyznaczniki czasowo-przestrzenne procesów społecznych, których są one generalizacją, oraz (b) kierunki stawiające sobie za cel ustalenie najprostszych stosunków między wybranymi cechami elementów społecznego działania — stosunków, które zachodzą w każdym warunkach historycznych, ilekroć mamy do czynienia ze społecznością ludzką”. (Z. Bauman, *Zarys socjologii. Zagadnienia i pojęcia*. Warszawa 1962, s. 39). Sugeruje się tutaj, że podział według zakresu pokrywa się z podziałem według typu, że przedmiotem „uogólnień historycznych” jest dynamika społeczna, a przedmiotem zdań ściśle ogólnych — struktura, stałe zależności w układach statycznych. Z poglądem takim nie można się zgodzić. Zdanie głoszące, że ilekroć wzrastają płace, tylekroć wzrasta wydajność pracy, aby było prawdziwe, musi być opatrzone wyznacznikami czasowo-przestrzennymi. Inniej nie dotyczy ono żadnego procesu społecznego, tylko właśnie wielokrotnie powtarzalnych „stosunków między elementami społecznego działania”, ich korelacji. Procesem społecznym zajmujemy się dopiero wtedy, gdy badamy, jaki zespół warunków musi zostać spełniony, by powstała kultura, w której prawo to zaczęło funkcjonować.

ników tych nie można obalić, lub (jeżeli zaobserwowana zależność jest jednak uwarunkowana typem kultury) chcieć sprawdzić, do jakich maksymalnie granic można je rozszerzyć. W obu wypadkach „sięgnie do przeszłości po materiały do uogólnień”, podejmie „porównawcze studia historyczne” (s. 226), popadając przy tym w opisane przez Ossowskiego kłopoty.

My ze swej strony zauważmy, że kolejność, w jakiej ów wzorcowy socjolog będzie badał, w toku swego indukcyjnego postępowania, poszczególne historyczne społeczeństwa, jest dlań obojętna: nie interesują go bowiem żadne problemy genetyczne ani następstwa czasowe. Ten wzorzec wydaje się adekwatny do rzeczywistości. Istotnie bowiem współczesny socjolog-komparatysta traktuje zwykle historię ludzkości jak nieuporządkowany linearnie zbiór sytuacji społecznych, które klasyfikuje według kryteriów zależnych od celu aktualnego badania. Jest to historia bez chronologii: możemy wybrać sobie z niej wszystkie dyktatury i uporządkować je wedle malejącego dystansu od typu idealnego, monocentrycznego ładu, bądź wszystkie społeczeństwa, których członkowie reagują podobnie na określone typy masowych zabiegów pedagogicznych. Za każdym razem badamy zachowania ludzi lub funkcjonowanie instytucji wewnątrz danego modelu — a więc badamy jego strukturę — i następnie porównujemy go z innymi wyjętymi ze zbioru modelami, nie interesując się ich kolejnością, zmiennością i genezą.

Jak wiadomo, ten sposób uprawiania metody porównawczej bywał wielokrotnie poddawany krytyce przez rzeczników „historyzmu”⁷. Ta wieloznaczna zbitka pojęciowa nie ułatwiała co prawda zrozumienia stanowisk adwersarzy. Nie wdając się tutaj w roztrząsanie różnych postaci, jakie spór ten przybierał, wypada stwierdzić, iż genetyczny punkt widzenia (czy jeśli kto woli, „historyczne traktowanie zjawisk”) jest niewątpliwie słuszną dyrektywą, z czego nie wynika, że dla socjologa musi to być jedyny punkt widzenia. Nie sądzę nawet, by było konieczne — jak czynią krytycy bardziej umiarkowani — kłopotać się o to, by program studiów porównawczych „nie prowadził do przykrawania materiału historycznego na miarę logicznych schematów”⁸, niemają bowiem zależy od tego, jakie to będą schematy. Jest rzeczą kontroli każdorazowej procedury stwierdzić, czy operacja komparatystyczna została wykonana rzetelnie i czy jej wyniki są naukowo doniosłe.

Nie krytykę więc pragniemy tu podjąć, lecz tylko wyrazić żal, że nazbyt może jednostronna dominacja wspomnianego kierunku zainteresowań i stylu komparatystyki w środowisku socjologicznym nie sprzyja zbliżeniu z naukami historycznymi — co jest wartością może mieniaczną, ale przecież wartą troski.

Kiedy przegląda się katalogi najnowszych wydawnictw ekonomicznych i socjologicznych, rzuca się w oczy znamienna między ich zawartością różnica. Ekonomisci nagromadzili już dziesiątki gruntownie opracowanych modeli. Dalsze prace tego typu wydają się już niekiedy rozszczepianiem włosa, chyba że dotyczą społeczeństw prekapitalistycznych lub nowych sytuacji, w naszych oczach komponujących się w powiązane strukturalnie całości. Ale w programach badawczych instytutów ekonomicznych na całym świecie nastąpiło w ostatnim piętnastoleciu zdecydowane przesunięcie zainteresowań ku konstruowaniu teorii dynamicznych, teorii wzrostu. Na tym terenie nastąpiło owocne w skutki spotkanie ekonomistów i historyków. Pierwsi przyswajają sobie coraz bardziej historyczny punkt widzenia. Drugi uzyskują legitymację teoretycznej i praktycznej użyteczności swej pracy, skoro uogólnienia oparte na analizie i porównywaniu historycznie znanych procesów ma-

⁷ Z grona historyków najobszerniej wypowiadała się na ten temat Celina Bobińska, *O strukturze klasowej w świadomości — polemicznie*. „Kwart. Hist.” 1961, nr 1, zwłaszcza s. 127—133.

⁸ J. Szacki, *W kręgu nowych doświadczeń i historycznych analogii*. „Studia Filozoficzne” 1958, nr 4(7), s. 137.

krospołecznych wykazują swoją wartość predykatywną w odniesieniu do współczesnych krajów słabo rozwiniętych.

Podobny zwrot jest jeszcze mało widoczny w socjologii. „Wydaje się — pisze Julian Hochfeld w niezwykle interesującym studium *Materializm historyczny a socjologia* — że w toku rozwoju zainteresowań naukowych życiem społecznym wykształcił się pewien szczególny sposób ujmowania zjawisk społecznych, charakteryzujący socjologię współczesną. Przy całej nieprzezwytej różnorodności poglądów, chwilejności terminów, wielości szkół i różnaitości tradycji w socjologii, jest to dzisiaj dyscyplina naukowa, której przedstawiciele godzą się (...), iż jej swoista perspektywa — występująca w innych naukach społecznych w takiej jedy nie mierze, w jakiej można mówić o ich socjologizacji — polega na ujmowaniu zjawisk społecznych w aspekcie ich grupowej struktury”⁹.

Oczywiście, aspekt taki nie wyłącza zainteresowania dynamiką społeczną i — jak wiemy — socjologia ma i na tym polu niemałe osiągnięcia. Dotyczą one jednak dynamiki małych grup raczej, aniżeli procesów makrospołecznych.

Sytuacja wygląda więc tak: nauka historyczna zajmuje się wprawdzie transformacjami kultur, utrwalającymi się i kumulującymi zmianami w świadomości społecznej i zachowaniach zbiorowych, w układach grup i instytucji, ale jest (w ujęciu St. Ossowskiego) nauką nie generalizującą, opisującą indywidualne przebiegi z ich niepowtarzalnym bogactwem cech różnicujących; socjologia zaś jest nauką generalizującą, ale za to rzadko przyjmuje historyczno-genetyczny punkt widzenia. Kto zatem — zamiast „sięgać w przeszłość po materiały do uogólnień” — podda tę przeszłość zabiegom typologicznym i generalizującym bez rozrywania związków następstwa struktur?

Pragniemy się tu, słowem, upomnieć o współpracę socjologów i historyków przy budowaniu teorii rozwoju społecznego. Dla większej zaś jasności pojęć warto przyjąć propozycję Hochfelda: „odróżniania zmian jeszcze nie naruszających wewnętrznej równowagi pewnych całościowych układów (takich jak np. formacja społeczno-ekonomiczna) od procesów długofalowych, których prawa odzwierciedlają szczególną logikę przejścia od jednego całościowego układu równowagi do drugiego. Sposobowi działania układu w warunkach względnej równowagi — pisze Hochfeld — warto przyporządkować pojęcie zachodzących w nim zmian, które odbywają się zgodnie z wewnętrznymi prawami struktury układu; sposobowi przekształcania się układu, wytrąconego ze stanu równowagi, w inny układ warto przyporządkować pojęcie rozwoju, który odbywa się również zgodnie z określonymi prawami”¹⁰.

II

Można teraz postawić pytanie, czy wnioski płynące z analiz naukoznawczych profesora Ossowskiego dadzą się odnieść do teorii rozwoju. Odpowiedź wypadnie twierdząco, jeśli uznamy, że prawa rozwoju różnią się od praw struktury tylko swym przedmiotem; że mówią o innych stosunkach, ale w logicznej systematyzacji uogólnień należą do tej samej klasy praw następstwa zdarzeń i dochodzi się do ich sformułowania oraz weryfikuje się je w drodze analogicznych procedur badawczych. Wówczas dobór wzorca do analizy może się wyrazić w doborze egzemplifikacji, ale nie zwięzi ogólności wniosków.

Dla niektórych kategorii praw z zakresu dynamiki makrospołecznej sąd taki wydaje się słuszny. Trudno np. dopatrzeć się jakiejś specyficznej formy w twierdzeniu, iż wytworzenie się w społeczeństwie trwałego społecznego podziału pracy

⁹ J. Hochfeld, *Studia o marksowskiej teorii społeczeństwa*. Warszawa 1963, s. 24—25.

¹⁰ Ibidem, s. 32.

prowadzi zawsze do pojawienia się stałego miernika wartości (pieniądza). Nie zawsze jednak sprawa przedstawia się tak prosto.

Lat temu dwadzieścia osiem ukazał się artykuł Stanisława Ossowskiego, w którym poddane zostały analizie takie „kłopotliwe zdania (...), których zakwalifikowanie sprawia niemałą trudność, gdy się stoi na stanowisku ostrego przeciwstawienia praw ogólnych i zdań historycznych”¹¹. Zdania takie, „stwierdzające pewne stałe zależności pomiędzy kolejnymi elementami jednego procesu”, nazwał Autor „prawami genetycznymi”, czyli „prawami zbiorów genetycznie uporządkowanych”. Do takich praw zbliżałoby się poszukiwanie prawidłowości rozwoju danego, z osobna wziętego społeczeństwa, a bardziej jeszcze rozwoju całej ludzkości, traktowanego jako jeden proces. Prawa genetyczne — pisał Ossowski — „o ile są istotnie oparte na obserwacjach naukowych — stanowią węzeł (...) pomiędzy naukami nomotetycznymi i idiograficznymi. Jest rzeczą jakową dyskutować, czy ich ustalanie — to wykonywanie pracy historyka czy socjologa”¹².

Prekursorski charakter tego artykułu dziś dopiero można w pełni ocenić. W czasie, kiedy Ossowski go pisał, niewiele miał jeszcze do swej dyspozycji przykładów „istotnie opartych na obserwacjach naukowych”. Dla zilustrowania problemu musiał się uciekać do cytowania pełnych poezji syntez historiozoficznych.

Tymczasem po tej właśnie linii zdaje się zmierzać dzisiaj myśl teoretyczna w naukach historycznych. Komparatystyka historyczna nie osiągnęła i prawdopodobnie nie osiągnie wielkich sukcesów na drodze ustalania ogólnych praw rozwojowych, które stwierdzałyby, że „wszystkie przebiegi tej samej klasy zachodzą w taki sam pod pewnym względem sposób”¹³. Prawa takie są konstruowane, ale treść ich jest zazwyczaj dość banalna. Nowy i zapewne bardziej obiecujący styl teoretyzowania w tej dziedzinie polega na tym, że bada się i porównuje rozwój poszczególnych społeczeństw nie jako izolowane układy genetyczne, lecz jako komponenty jednego układu, mianowicie rozwoju cywilizacji. W tym sensie nie ma dzisiaj innej historii jak historia powszechna. Historyk-komparatysta nie ogranicza się wówczas do „zestawiania tego co wspólne szeregowi konkretnych przebiegów historycznych”, ale poszukuje — jak powiada Witold Kula — „regularności w odmiennościach”, traktując specyficzne cechy tych przebiegów jako funkcję ich zaszerogowania w owym jedynym układzie. Dla takiego typu twierdzeń proponuje Kula nazwę „generalizacji dynamicznych”¹⁴.

Stosunek tego typu uogólnień do „praw genetycznych” Ossowskiego wymagałby bardziej szczegółowej analizy, na którą nie ma tu miejsca. Pragniemy tylko stwierdzić, że problematyka ta otwiera piękne pole porozumienia i współdziałania

¹¹ St. Ossowski, *Prawa „historyczne” w socjologii*. „Przegląd Filozoficzny” t. 38 (1935), s. 3.

Artykuł mój był już w druku, kiedy ukazała się nowa praca prof. Ossowskiego na ten temat: *Dwie koncepcje historycznych uogólnień*. „Studia Socjologiczne” 1963, nr 2, s. 53—61. W rozprawie tej Autor, nawiązując do cytowanego wyżej swego artykułu z roku 1935 oraz do artykułu Nowaka, formułuje nieco zmodyfikowane stanowisko i nowe propozycje w sprawie typologii ogólnych zdań historycznych. Uwzględnienie tych rozważań w niniejszym szkicu nie było już możliwe.

¹² Ibidem, s. 30.

¹³ Ibidem, s. 13.

¹⁴ W. Kula, *Problemy i metody historii gospodarczej*. Warszawa 1963, s. 717—718. Tamże przykłady takich generalizacji. Por. również pracę tegoż autora *Les débuts du capitalisme en Pologne dans la perspective de l'histoire comparée* (Accademia Polacca di Scienze e Lettere, Biblioteca di Roma. Conferenze, fasc. 10). Roma 1960. Zostały tam poddane weryfikacji (nb. ze skutkiem negatywnym) pewne hipotezy ogólne z zakresu tak pojętej teorii rozwoju, sformułowane przez uczonego amerykańskiego Alexandra Gerschenkrona, np. twierdzenie orzekające, że im później jakiś kraj wkracza na drogę industrializacji, tym większa jest rola czynników instytucjonalnych (zwłaszcza państwa) w tym procesie i tym silniejsza ideologia, która interwencji tych czynników patronuje.

dyscyplin, a zarazem wskazuje pewne osobliwości nauk historycznych nie mające odpowiednika w naukach społecznych ściśle nomotetycznych, do których ograniczył się zakres przedmiotowy ostatniej książki Ossowskiego.

Ilustracją tych odmienności mogłaby być analiza wspomnianego już „konfliktu pomiędzy postulatem systematyczności badań i postulatem ubiegania się o wnioski ogólne, nie ograniczone wyznacznikami historycznymi” (s. 214).

Zauważmy najpierw, że stosunek Ossowskiego do źródeł historycznych jest w ogóle przesadnie pesymistyczny. Socjolog opierający się na przekazach z przeszłości „nie może — zdaniem autora «O osobliwościach» — stosować żadnych ścisłych metod oceny reprezentatywności w stosunku do tych materiałów, a posługiwanie się metodą statystyczną na tym terenie możliwe jest jedynie w sytuacjach wyjątkowych i to w bardzo ograniczonym zakresie, zwłaszcza gdy idzie o czasy wyprzedzające wszelkie roczniki statystyczne” (s. 225). Wydaje się, że to zaskakujące historyka zdanie można by uznać za prawdziwe tylko wtedy, gdyby problematykę socjologii zwięzić do przedmiotu empirycznej psychologii społecznej, a i wówczas jeszcze będzie ono, jak sądzę, sformułowane zbyt radykalnie. Jeżeli można było oceniać stopień reprezentatywności listów emigrantów polskich w Ameryce jako źródła do badania postaw społecznych całej populacji emigracyjnej i określać skalę błędu, to nie widać rozsądnych powodów, dlaczego miałyby to być niemożliwe np. w stosunku do zachowanej masy laudów sejmikowych jako źródła do badania postaw rycerskiego w Polsce przedrozbiorowej.

Przy szerszym traktowaniu zakresu socjologii sytuacja jeszcze mniej uprawnia do tak ponurych wniosków. Na przykład zachowane komplety akt stanu cywilnego dla całych miast, gmin, a niekiedy państw, w długich odcinkach czasowych, traktowane jako źródło do badania mobilności społecznej, mogą być badane metodą reprezentacyjną przy spełnieniu nawet bardzo wymagających warunków precyzji metodycznej. Nie mówię już nawet o badaniach historyczno-ekonomicznych lub historyczno-demograficznych, w których bardzo odpowiedzialne posługiwanie się metodą statystyczną jest rzeczą codzienną i to w zastosowaniu do materiału źródłowego o setki lat wyprzedzającego roczniki statystyczne i dochowanego nieraz w stanie szczytkowym.

Sprawa komplikuje się oczywiście z chwilą, gdy od opisu jednego konkretnego społeczeństwa chcemy przejść do poszukiwania zależności opatrzonych bardziej ogólnymi „kwantifikatorami historycznymi”, tym bardziej zaś do formułowania praw uniwersalnych. „Jeżeli — powiada Ossowski — socjolog zmierza — za przykładem nauk doświadczalnych — do uogólnień rozciągających się na cały obszar dostępnych nam w jakikolwiek sposób dziejów ludzkich społeczeństw, jeżeli pragnie uchwycić szersze zależności przyczynowe, które pozwoliłyby wyjaśnić korelacje stwierdzone w jakichś konkretnych warunkach, *hic et nunc*, musi stanąć w kolizji z metodami badań w naukach doświadczalnych: musi sięgnąć do materiałów o niesprawdzonej reprezentatywności, nie skontrolowanych jego metodami, materiałów mniej lub więcej przypadkowych, jakimi posługiwała się socjologia tradycyjna” (s. 223). W tej postaci sąd naukoznawczy nie budzi już wątpliwości — o ile mowa o badaniach struktury — lub dynamiki małych grup. Trudno by go jednak odnieść do teorii rozwoju społecznego. Przedmiotem jej twierdzeń będzie bowiem zazwyczaj wielkie społeczeństwo traktowane jako jednostkowa całość, dzięki czemu łatwiej sobie ona poradzi z rygorami reprezentatywności.

Weźmy przykład. Znaną leninowską teorię dwóch dróg rozwoju kapitalizmu w rolnictwie można interpretować jako dyrektywę typologiczną: z takich to a takich względów warto podzielić kraje kapitalistyczne na takie, w których zachowała się wielka, z genezy swej feudalna własność ziemiska, oraz na takie, w których własność ta nigdy nie istniała lub została zniesiona na drodze rewolucyjnej.

Jednocześnie jednak teoria ta jest dostatecznie bogata w treść, by interpretować ją szerzej jako fragment teorii rozwoju, jako prawo ogólne orzekające o pewnej stałej zależności, która zachodzi między faktem zachowania lub nie zachowania wielkiej własności, dokonania się lub nie dokonania rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, a innymi cechami rozwoju ekonomicznego, struktury społecznej i świadomości zbiorowej. Otóż prawo takie można poddać weryfikacji empirycznej na materiale dotyczącym wszystkich społeczeństw, do jakich odnosi się jego treść. Także sprawdzać oparte na nim przewidywania odnoszące się do procesów dokonywających się aktualnie w krajach gospodarczo opóźnionych. Jeszcze bardziej zdecydowanie można powiedzieć to samo o wspomnianej wyżej kategorii generalizacji dynamicznych, odnoszących rozwój poszczególnych stref lub krajów do jednego ogólnego trendu.

Przedstawiony przez Ossowskiego konflikt współczesnej socjologii przedstawia się więc mniej dramatycznie na terenie teorii rozwoju społecznego. Podobnie — by wziąć drugi przykład — tezy o „udziale doświadczenia wewnętrznego w praktyce badawczej” (s. 214, 232—251) nie dałyby się, jak sądzę, odnieść bez zastrzeżeń do tego terenu.

Podjęcie systematycznej pracy nad budową ogólnej teorii rozwoju społecznego wraz z towarzyszącą refleksją metodologiczną i naukoznawczą wydaje się godne trudu. Książka Ossowskiego stanowi w tej materii i przykład i inspirację. Ukazując czytelnikowi rozległy obszar wspólnoty wszystkich humanistów, ujawnia zarazem rozbieżności zainteresowań, stylów uprawiania nauki, aspektów problemowych — pomiędzy historią a naukami społecznymi w zwięzonym zakresie. Droga do współdziałania nie prowadzi na pewno przez zwalczanie lub lekceważenie jednych w imię wyłączności drugich, lecz przez zwalczanie nieporozumień, zasypywanie szczelin i wzajemne stawianie sobie pytań.

III

Motywy obstawiania przy zaprezentowanym tu punkcie widzenia są pewne wnioski płynące z obserwacji aktualnego stanu nauki historycznej w Polsce, a może i nie tylko w Polsce.

Interesujące uwagi prof. Ossowskiego o podwójnej metryce socjologii (s. 200) można, jak sądzę, z pewnymi zmianami odnieść i do nauki historycznej. Jedna jej metryka — to wielkie koncepcje porządkujące, będące najczęściej projekcją w przeszłość moralno-politycznej aksjologii uczonego, syntezy dziejów narodowych nie krępujące się wprowadzić rygorami metodologów, ale za to przynoszące ukojenie umysłom znękanym chaosem zdarzeń i namiętnie pragnącym doznania ładu i formy. Druga metryka — to temat wąski, ale udokumentowany do najdrobniejszego szczegółu, mrówczy trud archiwalny i krytyczny, opisowość, perfekcjonowanie metody, kult nauk pomocniczych, czasem sztuka dla sztuki jak figury w średniowiecznym ołtarzu, z równą starannością rzeźbione od tyłu — dla Boga, jak od przodu — dla wiernych. Jest to oczywiście klasyfikacja uproszczona, świadomie abstrahująca od faktu, że w katalogach bibliotecznych pod nazwiskiem tego samego uczonego, zwłaszcza wybitnego, znajdziemy często prace obydwu rodzajów.

Niemniej przeto można zaryzykować twierdzenie, że o obliczu nauki przez długie dziesięciolecia decydowały dzieła, których dystans od pierwszego z powyższych typów idealnych był mniejszy niż od drugiego. Do tego nurtu nauki historycznej odnieść można wszystko to, co Ossowski mówi w rozdziałach trzecim i czwartym o grzechach głównych nauk społecznych, a także znaczą część tych pouczeń, jakich samo już zgromadzenie historyków, bez towarzystwa socjologów i innych humanistów, wysłuchać musiało na rekolekcjach *Malewskiego* i *Topolskiego*. Nierozstrzygalne spory i wieloznaczne pojęcia, predylekcja do

zdań eliptycznych, brak predylekcji do relatywizowania sądów, ocen i dyrektyw, arbitralność wyjaśnień monokauzalnych, traktowanie poglądów i stwierdzeń komplementarnych jako sprzecznych, walki „wyznaniowe”, ortodoksja i rewizjonizm — cała ta długa lista obciążeń dziedzicznych, osobliwości nieimmanentnych, relikwów — jak chce Ossowski — myślenia pre naukowego odnosi się z pewnością w równej mierze do znacznej części pisarstwa historycznego, jak do innych dyscyplin humanistycznych.

A jednak nie na tym chcielibyśmy położyć główny akcent. Przygody polskiej nauki historycznej w ostatnim okresie różniły się nieco od doświadczeń socjologii, z których wyrosły przemyślenia Ossowskiego. W latach, kiedy dociekania ogólniejsze były szczególnie narażone na spekulacje filozoficzne, socjologowie nie mogli znaleźć schronienia w pracowniach socjografii i wąsko przedmiotowych badań empirycznych, bo takich pracowni wówczas nie było. W historiografii, przeciwnie, dawniejsze tendencje do premiowania drobiazgowego opisu, analitycznej skrupulatności i prudenckiej wzmogły się w tym czasie, nie krępowane poważniejszymi instytucjonalnymi przeszkodami. Była to okoliczność nader pomyślna. Jej to przypisać należy fakt, że lata 1949—1956 — z drastycznym wyjątkiem historii najnowszej — nie były bynajmniej okresem naukowego zastoju. W tym czasie dokonano się wydatne podniesienie przeciętnego poziomu historycznej monografii, opanowanie rzemiosła przez licznie przyjmowaną do cechu młodą kadre terminatorów i czeladników, podwyższenie wymagań w zakresie warsztatu krytycznego i edytorskiego. Rzecz charakterystyczna, że sposób realizacji programu wielkiej „syntezy” historii Polski temu właśnie kierunkowi ewolucji sprzyjał. Kierunek ten aktualny jest — w dużej mierze — i dzisiaj.

Nie znaczy to oczywiście, że nowoczesne normy postępowania dowodowego, języka naukowego i erystyki zostały już tak „uwewnętrzzone” przez ogół historyków, że zbędne im są znaki ostrzegawcze tak licznie rozmieszczane przez prof. Ossowskiego i niektórych jego młodszych współpracowników na szlakach rozwoju polskiej humanistyki. Chodzi tylko o to, co na terenie dziejopisarstwa miałyby być dzisiaj najpierwszym przedmiotem troski.

Myślę, że — z grubsza biorąc — to samo, co jest przedmiotem troski Ossowskiego, kiedy spogląda na współczesne pracownie socjologii empirycznej: zagubienie humanistycznej orientacji, a nawet jej programowe lekceważenie, ograniczenie problematyki i zadań nauki na rzecz kultu technicznej sprawności.

W środowisku historycznym nikt nie pyta doktoranta, jakim sprawom warto mu poświęcić kilkadziesiąt lat życia. Pytają go tylko, czy opanował zasady dobrej roboty. Ostrożność jest ceniona wyżej niż ryzyko naukowe. Taki stan rzeczy skazuje naukę i środowisko na wyjałowienie. Zwłaszcza gdy postrzegamy tu osobliwość nieznaną bodaj w innych dziedzinach nauki: oto pokolenie młodsze, zastęp z lat pięćdziesiątych, jest na ogół wierniejsze tradycyjnym (już tradycyjnym, choć od tak niedawna!) wzorom uprawiania nauki, bardziej konformistyczne niż preceptorowie. Z wyjątkiem paru specjalnych dziedzin wnosi ono niewiele fermentu do nauki. Konstrukcje wprowadzające w krąg nowych idei i problemów, przewartościowujące nagromadzony dorobek, obalające graniczne szlabany ciasnych specjalizacji — jeśli powstają, to wychodzą zwykle spod piór profesorów zwyczajnych.

Otóż główną przyczynę opisanej sytuacji upatrywałbym w tym, że nauka historyczna została pozbawiona dyrektyw doboru tematu i probierzy ważności. Ossowski kreuje w swej książce wizję nauki społecznej z zanikającymi „szkołami”, zbliżającej się z wolna do ideału systematycznej kumulacji wiedzy, likwidującej w zarodku wszelkie spory bezprzedmiotowe, oparte na nieporozumieniach. Wyznać muszę, że wizja ta napawa mnie niejakim niepokojem. Jakże bowiem zapomnieć

o tym, że fałszywie postawione zagadnienia odegrały niebywałą rolę naukotwórczą! Damy się bez trudu przekonać, że w wiekowym sporze o przyczyny upadku Polski panował niebywały zamęt (s.174). Tylko że bez tego sporu nie mielibyśmy *Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta, Przewrotu umysłowego w Polsce* i paru tuzinów innych fundamentalnych prac, które pchnęły o milowy krok naprzód zgoła przedmiotową wiedzę o Oświeceniu. Tezy, którymi szermowano, były wieloznaczne, pozbawione logicznej sensowności, nieoperatywne, ale ogromny materiał, który nagromadzono w intencji ich uzasadnienia, był prawdziwy; stanowi on trwałe dorobek nauki. Podobnie dyskusje periodyzacyjne lub kontrowersje wokół „charakteru” czy „istoty” poszczególnych epok dziejowych cechuje po dziś dzień zwykle to, że „każdy mówi o czym innym”, aż przedmiot dyskusji znika wśród pozornych sprzeczności i rozbieżnych wątków. Nic prostszego dla wytrawnego logika czy metodologa nauk, jak wykazać ich jałowość; tyle że każda z tych dyskusji była silnym bodźcem do badań, albowiem wskazywała im cel, dostarczała dyrektyw i planów większych konstrukcji, choć nie zawsze opartych na dobrze założonych fundamentach.

Nie będziemy wzdychać do przeżytych kształtów, które (pełna tu przecież zgoda z Ossowskim) stanowią relikty postaw archaicznych w nauce współczesnej. Ale czym zastąpić ich inspirującą funkcję?

W przedmowach autorskich do historycznych monografii jakże często znajdujemy uzasadnienie podjęcia tematu faktem istnienia „luki” w naszej wiedzy. Jak gdyby wszystkie luki warto było wypełniać i jak gdyby wszystkie luki można było wypełnić! Kooperacja między uczonymi jest rzeczą rzadką, ponieważ każdy zajmuje się wypełnianiem innych luk. Interesowanie się wynikami pracy kolegów jest siłą rzeczy raczej obowiązkiem towarzyskim, aniżeli naukową koniecznością. Nauka przestaje być strukturalnie powiązaną całością. Wszystko jest jednakowo ważne lub jednakowo nieważne.

Po zmięczeniu romantyzmu naukowego, po zintegrowaniu podzielonej na „szkoły” dyscypliny, tylko dyrektywa odpowiedzialnego budowania syntezy teoretycznej może stać się busolą na rozlewającym się coraz szerzej morzu materiału opisowego⁴⁵. Dopóki nie mam zamiaru przyczynić się do budowy lub weryfikacji zdania ogólnego (w takiej lub innej postaci logicznej), dopóty wybór przedmiotu analizy, wybór casusu, jest motywowany tylko osobistymi zainteresowaniami lub, co często, przypadkowym natrafieniem na nie wykorzystane źródło.

Niezastąpionym punktem wyjścia takiej pracy jest, jak dotąd, marksowska teoria formacji społeczno-ekonomicznych; jedyną drogą — porównawcze badania dynamicznych i wzajemnie się warunkujących procesów przemian makrospołecznych. Teoretycznie zorientowana nauka historyczna mogłaby odzyskać tę cnotę, za której utracenie jest tak często moralizowana przez postronnych krytyków, a której brak powoduje również głębokie kompleksy wśród jej własnych kadr: związek ze współczesnością i przyszłością. Nie tylko dlatego, że pozwalalaby współczesnością nieco lepiej sterować, a przyszłość nieco lepiej przewidywać, ale i dlatego, że — jak pisze Ossowski — „wiedza może również mieć wpływ na stosunki międzyludzkie poprzez zmiany, które powoduje w korach mózgowych, niezależnie od technicznych zastosowań” (s. 261). Wreszcie historia taka, i tylko taka, mogłaby stać się składnikiem i współtwórcą tego szlachetnego programu współpracy humanistów, jaki kreślił prof. Ossowski w ostatnich rozdziałach swej pięknej książki.

⁴⁵ Nadzieje takie wiążano ongiś z historią gospodarczo-społeczną jako nauką o faktach masowych, powtarzalnych, podlegających silniejszemu determinizmowi, aniżeli fakty z zakresu historii politycznej. Były to iluzje. Przyczynkarstwo i bezkierunkowość badań okazały się w tej specjalizacji tak samo możliwe i tak samo rozpowszechnione.